

Cóż nam z kochania, jeśli jest próżne? Żołnierza z ołowiu też serce boli. Dajmy mu miłość, a nie jałmużnę. — romantyczna

Od autora: * Tytuł: Fragment tekstu pastorałki „Kolęda dobrych ludzi woli”.

Nie mogłam się powstrzymać :)

Integrowałam się z własną kuchnią, robiąc zwyczajne, ale potrzebne do życia kanapki z szynką i serem, a Znajda nie odstępowała mnie na krok. Nadałam jej to imię, mając nadzieję, że w niedalekiej przyszłości wpadnę na lepsze, bardziej ambitne, a psu, tak czy siak, będzie wszystko jedno. Wiedziałam, że nie należy przekarmiać pupili, zwłaszcza przy skurczonym żołądku i łakomstwie, które wyłazi im wówczas wytrzeszczonymi oczami, ale dziwnym trafem, co jakiś czas na podłogę spadał mi kawałek wędliny. I to w dodatku wyzwolonej od świata zdradzieckich konserwantów czyhających na rozszarpanie jelit.

Żeby pozytywnie nastroić do pracy wszechogarniającą niechęć, o ile to w ogóle mogło być wykonalne, włączyłam radio. Z głośników popłynęła kojąca nuta Bena Howarda – *Promise*, idealna na ospały poranek. Właśnie podśpiewywałam refren wraz z wykonawcą, gdy nagle znikąd dobiegł mnie krzyk Aleksa.

- Gdzie on jest?! – darł się jak opętany.

Wprost nie znośiłam, gdy krzyczał ktoś inny niż ja. Pretendowałam na stanowisko wyłączności tej rozkoszy, bo co mogło być piękniejszego, niż wywrzeszczenie wszystkich żali i usterek natury w stronę niewinnego słuchacza? Aleks po chwili wpadł do kuchni, wywracając jedno z krzeseł, po czym rozmasował kontuzjowaną nogę. Nieźle w nią przygrzał, co tylko bardziej mnie ucieszyło.

- Spokojnie, bo ci żyłka pęknie – przywołałam go do porządku, choć czułam sympatię do pękających żyłek ludzi skłonnych do wyprowadzenia mnie z równowagi.

- Gdzie jest mój pies?! – Oczy prawie wypadły mu z orbit. Nie byłam pewna, czy zaślepiiony furią nie rzuci się na mnie znienacka.

- Jaki znowu twój pies? – Odkryłam, że torturowanie Aleksa było czystą jak spirytus przyjemnością, którą ochoczo polewalam mu rany.

- Lena, ty mi tu kurwa nie znowuj, tylko gadaj, co z nim zrobiłaś?! Wywaliłaś go na bruk?! – chciał wiedzieć. I mógł, gdyby tylko się rozejrzył. Tylko że on musiał wmieszać w to górę, z której założył, że jestem stukniętą zdziwą, pozerającą psy na przystawkę.

- Lepiej opanuj nerwy, bo zaraz ciebie wywalę – ostrzegłam, siląc się na pryncypialny ton, podczas gdy w środku pękałam ze śmiechu. – Siadaj, ochłoń, zjedz kanapkę i pogłaskaj Znajdę, bo od minuty próbuje zwrócić twoją uwagę.

Aleks raptownie zdębiał, a gdy spostrzegł czworonoga, który stanął w bezpiecznej odległości od kuchennej wysepki, gdzie toczyliśmy trzecią wojnę światową, zeszło z niego całe powietrze. Nie mogłam odeprzeć wrażenia, że z premedytacją napompowałam i przekłułam naiwny, różowy balonik, a co więcej – że byłam w tym naprawdę dobra.

- Gdyby płacono ci za bycie jędzą, zbiłabyś majątek – syknął w dzielącą nas przestrzeń.
- Przecież nic nie zrobiłam – odrzekłam z miną niewiniątka, która przyłgnęła do mnie wraz z dobrym powodem. – Nie moja wina, że jesteś palantem.
- Wprowadziłaś mnie w błąd. – Starał się być cierpliwym tłumaczem, a mnie wepchnąć w schemat małego, nierozumnego dziecka. – Gdybym był palantem, już dawno przewiesiłbym cię przez kolano i sprzął na kwaśne jabłko.
- Nie wiedziałam o czym bredzisz, przecież nie masz psa – stwierdziłam, rozmyślając o byciu kwaśnym jabłkiem przewieszonym przez kolano Aleksa.
- Jak to nie? A... Znajda? – Jego spostrzegawczość potrzebowała aplauzu.
- Po pierwsze, nawet nie zauważyłeś, że to dziewczynka, czym głęboko zraniłeś jej uczucia. A po drugie to nie jest twój pies, tylko.... – Każdy koniec ma swoją kropkę, a ta właśnie się postawiła. - Ona tu zostaje.

Aleksowi przypadła do gustu jaśniejsza, skrzętnie ukrywana strona mojej natury, natomiast ja nie lubiłam, gdy wypływała na wierzch niczym olej uciekający od wody. Jeszcze przez przypadek w swojej łatwowierności mogłabym komuś zaufać, a ten ktoś a nuż wbiłby mi nóż w plecy. Złośliwością przypadków chodzących parami zapewne razem z widelcem.

- Ale wiesz... – zaczął. – To by znaczyło, że jednak masz serce – orzekł, jak gdybym podała mu je na tacy.
- Nie wiem o czym mówisz. – Moje serce wcale nie domagało się zaszczytnego miejsca na tym bezdusznym świecie w postaci trofeum, które można by postawić na kominku. Ani tym bardziej uznania Aleksa.

Serce chciało mieć tylko szafę pełną ubrań, dobrą pracę, nieczulą matkę i od niedawna – psa przybłądę. I posiadało to wszystko, a jednak nie odczuwało szczęścia. Gdzieś pod skórą drzemały inne ambicje i pragnienia.

Wygoniłam psa i jego pseudowłaściciela na spacer, a sama przystąpiłam do porannej toalety. Lustrzane odbicie na początku nie pokazało niczego ciekawego. Dopiero po *kosmetykowej* metamorfozie mogłam zacmokać z uznaniem pomalowanymi na czerwień ustami, choć włosy dały tego ranka do wiwatu. Trzydziestopięcioletnia *sweet fotka* w kiblu poszła więc w odstawkę. Zrzuciłam balast z pęcherza, a lęk przed kolejnym dniem powszednim spuściłam w odmętach sedesu. *To ja jestem górą!*

Przed pracą skoczyłam jeszcze do osiedlowego sklepu po suchą psią karmę dla Znajdy. Udało się też kupić dwie miski, na których widniały nadrukowane ślady zwierzęcych łapek. Napelniłam pojemniki wodą i śmierdzącym żarciem, i zostawiłam Aleksowi karteczkę, żeby rozgrzeszył się z pominiętych na uczelni zajęć, a zamiast nich wziął pod opiekę czworonoga. Przy okazji musiałam zaciągnąć hamulec pokusy, by do niepokornej prośby nie dorysować dłoni z wystawionym środkowym palcem. Uznałam, że w ten sposób nie osiągnę upragnionego rezultatu.

Mój dzień wolałby podlubać w zamarzniętej ziemi, niż jechać do pracy, ponieważ w biurze miało odbyć się posiedzenie, które nazywałam *zlotem albatrosów*, gdyż każdy nadęty buc z zarządu jawnie na-

wadniał ego własnymi sukcesami, pokazując, że ma większe jaja, niż ci, którzy tak naprawdę byli lepsi, ale podcinano im skrzydła. Polityka marketingowa bytowała jako kawał drania. Zadawała rany, by zaraz potem sadystycznie je posolić.

Firma, w której dogorywałam każdego dnia, nosiła nazwę *Verdoyer*, co z francuskiego oznaczało *zielenić*. Nie posiadałam wiedzy, kto wpadł na podobny pomysł, ale miałam nadzieję, że nie żadna pierdoła, bo tego bym nie zniosła. Zajmowaliśmy się uszczęśliwianiem ludzi, a właściwie starych i młodych zrząd, którym nigdy nie pasowało. Przecież trawa zawsze jest zieleńsza u sąsiada, czyli generalnie tam, gdzie nas nie ma, więc możliwości na destrukcję podobnych wykroczeń było wiele: począwszy od wypuszczenia psa na działkę Kowalskiego *also* Kowalskiej, gdzie skuteczniej wyleje żale, przez odcięcie zraszaczy, aż po wywalenie masy forsy w celu likwidacji przekonania upierdliwego delikwenta o swojej wyższości.

Odpowiedzialność jednak zaciągnęła mnie przed wielki budynek, przez szyby którego ujrzałam ludzkie pionki przemieszczające się z prędkością światła po oświetlonych korytarzach. Sama nierzadko miałam wrażenie, jakbyśmy grali w chińczyka – *Kto pierwszy stanie na wyznaczonych polach, ten wygrywa*. Najgorsza w tym wszystkim była satysfakcja z eliminacji współzawodników. *Zdychajcie, ludzie małuczcy!*

Przed wejściem uspokoiłam rozbudzone nerwy papierosem. A może podsyciłam? Kto to wie? W każdym razie czułam sympatię do robienia siwego dymu. Julia i jej fioletowe szpony, niefortunnie prze-defilowały mi przed oczami. Nie chciałam przyjmować do wiadomości żadnych niuansów, ale sekretarka ojca najwyraźniej uznała, że było inaczej.

- Wszyscy już są – zaznaczyła, z naciskiem na „wszyscy”, zupełnie jakbym nie należała do grupy „szczęśliwych” wybrańców.

Zbyłam ją ciszą, a miast tego wygrzebałam z kieszeni najmroczniejsze spojrzenie i posłałam w jej stronę. Skrzywiła się z niesmakiem na moją niereformowalność, po czym wyciągnęła z kieszeni telefon i wystukała wiadomość do pechowego odbiorcy. Pewnie znowu oznajmiła jakiejś ograniczonej przyjaciółce, że zadzieram nosa, co *de facto* nie obchodziło mnie w najmniejszym stopniu. Pragnęłam tylko jak najszybciej uciec poza zasięg jej intryg i wizerunek różowej landrynki piżdzący po oczach.

Faktycznie wszyscy już usadzili nadpobudliwe dupska w sali obrad nazywanej przeze mnie *salą obierek*. Ci ludzie mieli w sobie coś z ziemniaków – byli albo surowi, albo rozgotowani. W każdym razie ambicjonalnie niesmaczni, nawet gdy polewano ich komplementami. Każdy miał przed sobą kawkę lub herbatkę (zgrubienie słów niewskazane), bez których rozmowa nie miałaby sensu, bo przecież należało przepłukać czymś gardziołko w trakcie pieprzenia głupot. Chętnie dosypałabym im wszystkim arszeniku, wtedy bez wątpienia przestaliby błaznować. I oddychać.

Kiedy sadowiłam się na swoim miejscu, do pomieszczenia wpadł Cezary. Miał podkrążone oczy, mogące świadczyć o niewyspaniu. Jego wygląd był nienaganny, ale twarz zdradzała zmęczenie. A może zmartwienie? Ciężko stwierdzić przyczynę, gdy przywdziewanie masek tkwi, głęboko zakorzenione, w codzienności.

- Drużyno – zwrócił się do obecnych. – Czasu mamy niewiele, więc zaczynajcie.

Ledwie zauważalnie rzucił mi spojrzenie i mogłabym przysiąc, że w jego źrenicach ujrzałam nie-

pokój. Może wymienili z Ireną poglądy w kwestii niewychowywania córki, czytaj – mnie. A może postanowili w końcu przerwać ten bezmałżeński impas.

Podczas gdy obecni dwoili się i troili, a niektórzy wręcz czworzyli, by w jak najlepszym świetle przedstawić swoje pomysły, ja dumałam nad własnym. W kontemplacji godnej buddyzmu nie pomagały odzieżowe defekty współpracowników. Dziewczyna z żółtymi włosami miała przeraźliwie pomiętą spódnice, a guzik łysiejącego faceta wisiał na ostatnim tchnieniu czarnej nitki. Jeśli można posądzać rzeczy martwe o złośliwość, to można też im współczuć.

Kiedy nadeszła moja kolej na prezentację, wstałam, wprawiając obrotowy fotel w ruch, i podeszłam do złowieszczonego rzutnika. Nie tak dawno spłodziłam niezły projekt, teraz należało go tylko urodzić. Klient był rzekomym miłośnikiem ogrodów. Rzekomym, ponieważ nigdy nie przyłożył ręki do tego, by coś w nich rozkwitło. W dodatku, zaznaczając, że *jest znawcą pierwszej kategorii*, w rozmowie wspominał o meblach z lat 80-tych. Mało nie padłam trupem, gdy usłyszałam jak wychwalał zalety krzesła z epoki plastiku – tych, które potrafiły pierdyknąć, złamane na pół pod czterdziestokilogramowym ciężarem! Facet, po kilkunastu minutach pełnych żalonych zapewnień o własnym profesjonalizmie, zrozumiawszy błąd, zamknął nawijaczkę i postanowił mi zaufać. Sama nigdy nie zawierzyłabym kobiecie kupującej buty od Dolce & Gabbana, ale on szczęśliwie nie miał o tym pojęcia.

Ochota na wykonywanie niniejszego zlecenia ulotniła się, gdy koleś zaczął mnie jawnie podrywać, chociaż karatowe zobowiązanie bezceremonialnie tkwiło na jego palcu. Szkoda, że ludzie nie są ubrani w etykiety: *żonaty, mężatka, panna, dupek, żolza, super gość, fajna babka*, bo trudno ocenić ich status. Z jednej strony jest to dobre, ponieważ mało kto lubi otwarte księgi. Jednak z drugiej, byłoby doskonałym dostrzec prawdziwą wartość danej osoby zawdzięczając to jedynie sobie i wyrobić o człowieku autorską, niepodszepetywaną przez życzliwców opinię. Taka postać rzeczy uniknęłaby zapewne wielu krzywdzących pomyłek. Jedynym znakiem rozpoznawczym postulatu małżeństwa może być właśnie obrączka, która to nierzadko nie chce sama wskakiwać na palec z wygodnictwa bądź braku sumienia. W innych wypadkach założona i świecąca na dziesięć kilometrów, zdaje się nie przejmować złożoną przysięgą, obietnicą lepszego życia dogorywającą w nic nieznaczącym złotym krążku. Tak właśnie było z panem Adrianem, do którego mówienie na *ty*, nie chciało przejść mi przez gardło, nawet przepłukane wodą. Praca zapewniała spokojne życie, toteż awersję do tak zwanych *nietypowych typów* musiałam schować w najczarniejsze zakątki kieszeni, by tam skisła w swej złości.

Projekt dotyczył zagospodarowania przestrzeni w wielkim ogrodzie. Obejmował rodzaje – materiałów do jego budowy, roślin, ścieżek, mebli i zbiorników wodnych. A wszystko to, mimo nielicznych funduszy, poprawione dawką skromności i minimalizmu. Byłam zwolenniczką tworzyw z odzysku – podobno nic w przyrodzie nie ginie, chyba że wszystko. Przedstawiłam zarządowi swój pomysł, w którym prym wiodły surowce wtórne. Wyświetliłam zarys ścieżek, zrobionych z potłuczonych doniczek i cegieł dziurawek. Zachowana część starej, fikuśnej bramy miała posłużyć za podporę dla winorośli. Wielowiekową altanę zamierzałam odnowić, a tym samym podarować jej nowe życie.

Wszyscy „koledzy” z pracy, patrząc na slajdy wyświetlane na rzutniku, mieli rozdziawione gęby, jakby łączyli się z mózgiem, ale nie byli w stanie tego zrobić. Niektórzy przybrali dziwne pozy, coś na kształt znudzonego tramwajarza, babci siedzącej w autobusie czy kasjera z rozwolnieniem. Ich miny również były zróżnicowane. Jedni patrzyli na mnie wzrokiem pod tytułem: *Ta kretynka znowu wymyśliła coś całkiem dobrego*, inni decydowali się na: *Kończ już tą gadkę-szmatkę, bo jestem głodny*, a pozostali lewitowali pomiędzy: *Nie wiem, co o tym myśleć*, a: *Mów do mnie jeszcze*.

- Uważam, że to świetny pomysł – dobiegł mnie głos z tyłu, zawstydzając niesforne myśli.

Podniosłam wzrok znad monitora i ujrzałam ucieleśnienie swojego wyobrażenia o Apollu. Mężczyzna miał kręcone blond włosy i gdyby nie ostry zarys szczęki, wyglądałby jak istny aniołek. Mimo niezaprzeczalnej urody i pozytywnej energii, jaką emanował, nie był w moim typie. To pewnie dlatego nie zwróciłam na niego uwagi. Zresztą istniał w firmie jako *ten nowy*, więc tak czy siak miał mocno przejebane. *Harpie wkrótce się na niego rzucą* – pomyślałam.

- Co w niniejszym pomysle jest takiego świetnego? – chciał wiedzieć czterooki łysol, poprawiając spadające okulary, przy których bledło nawet denko od słoika.

- Dziewczyna ma ciekawy koncept. Wykorzystanie zniszczonych i bezużytecznych rzeczy do nowych projektów jest fenomenalne i podpisuję się pod tym rękami i nogami. – Po wnikliwszej analizie tej przystojnej twarzyczki, jednak stwierdziłam, że mogłabym być wieńcem na jego głowie, jak Dafne na Apolla, choć tamta odrzucała zaloty boga.

- Rupiecie są rupieciami, a nie innowacją – łysol bronił swojego przekonania jak ostatniego ciastka na talerzu.

- Nadawanie nowego życia rzeczom sprawdzonym jest o wiele bardziej efektywne, niż wykorzystywanie nowych, pozornie ulepszonych materiałów. – Tembr jego głosu był tak jedwabisty, że chciało się w nim zasnąć.

Bezwłosy typ w końcu dał za wygraną i zamknął postulaty za zagryzionymi zębami. Projekt został zaklepany, a uśmiech wybawcy-cherubinka rozłożył mnie na łopatki. Po przemówieniu szefa, pełnego uznania dla co poniektórych osób, wszyscy wstali i dziękowali Bogu za drzwi, którymi mogli wyjść. Chciałam przelać falę wdzięczności na boskie ciało *nowego* za to, że jako jedyny miał jaja, by się za mną wstawić, w dodatku grzęznąc w nieciekawej pozycji, jednak Cezary zniweczył mój zamiar.

- Lena, poczekaj chwilkę, proszę. – Nie wiedzieć czemu, poczułam się jak urwis wezwany na dywanik.

Mój pseudoojciec miał styl charakterystyczny dla ludzi posiadających za dużo forsy. Zawsze nosił złote spinki do mankietów, świecąc swą zajebistością na kilometr. Zapach perfum, za cenę których można by wykarmić kraje trzeciego świata, płynął za nim niczym rekin za ławicą ryb.

- Potrzeba ci pieniędzy? – przemówił bez ceregieli, gdy usiadłam na wprost niego.

- Spytaj, czy nie potrzeba mi miłości – odburknęłam pod nosem.

- Słucham? – Niedosłyszenie przywarło do Cezarego niby zdesperowana kochanka do żonatego faceta i nie miałam pojęcia, czy było celowe, czy nie. Podobnie jak większość romansów tego brudnego świata.

- O co ci chodzi? – Byłam nieźle wpieniona, na niego i finansową infantylną, jaką się kierował.

- Chciałem po prostu wiedzieć, czy sobie radzisz – usprawiedliwił swoją niesubordynację.

- Tak, radzę sobie świetnie, ale zamiast traktowania mnie jak jakąś cholerną inwestycję, mógłbyś od czasu do czasu zabawić się w ojcowanie, bo w tym jesteś beznadziejny! – Wszystkie żale wystrzeliły ze mnie jadem prosto w nagłe i niespodziewane oszołomienie Cezarego. W pobliżu nie było nikogo, kto

mógłby je z niego wyssać.

Co prawda zapewnił mi pracę i kupił dom, który uparcie spłacałam, choć tego nie wymagał, jednak nie byłam w stanie wysupłać z siebie uczuć wyższych jeśli chodziło o jego osobę. Zupełnie, jakbym patrzyła na figurkę z masy solnej – bez jakichkolwiek emocji, w dodatku niejadalną. Na przywiązanie trzeba zasłużyć, podobnie jak na wszystko inne.

Bez słowa wyjaśnienia wstałam i wybiegłam z *sali obierek*, trzaskając za sobą drzwiami. *Panie i Panowie, dziś na lunch była kiszka* – pomyślałam. Łzy uparcie mąciły pod powiekami, pragnąc ujrzeć światło dzienne, jednak tym razem nie dałam im wypłynąć. Oddaliłam urazy na bezpieczną odległość od oszklonego pomieszczenia, gdy nagle drogę zaszła mi kędziorkowa czupryna. Podskoczyłam ze strachu, co wywołało szczery śmiech blondasa.

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć – wytłumaczył.

- Nie szkodzi. – Nagły rumieniec zdradził mój wstyd. – Innym nieczęsto udaje się tego dokonać.

- Jestem wyjątkiem – odrzekł z dumą w głosie. – Może w innej kwestii również nie poniosę porażki. Bardzo bym nie chciał.

- A propos chcenia... – Przypomniałam sobie, że właściwie sama zamierzałam go zagadnąć. – Dziękuję panu za wsparcie. Żadna łajza nie otwarłaby parszywej gęby. – Zdawszy sobie sprawę z tego, co oznajmiałam, położyłam dłoń na czole. – Powiedziałam to na głos?

- Tak, powiedziałaś – zaśmiał się perliście. Przy okazji odnotowałam dwa fakty – że ma nieziemsko równe, bielutkie zęby i że powiedział do mnie na *ty*.

- Jestem Lena – oznajmiłam niepytana. Nagle jednak dostrzegłam u niego zakłopotanie. – A ty? Masz jakieś imię?

Deja vu przeniosło mnie do momentu starcia z Aleksem. To było nasze pierwsze spotkanie (nie licząc zajścia w sklepie i incydentu przed domem). Miałam nadzieję, że nie usłyszę odpowiedzi, jakiej udzielił Aleksowi, gdy zapytał o to, co teraz chciałam wiedzieć o stojącym przede mną mężczyźnie.

- Niespecjalne – odrzekł z kwaśną miną. Jednak widząc moje wyczekujące spojrzenie, w końcu spasował. – Mam na imię Gabriel.

Gabrys! Oczywiście! *Archaniol Boży Gabryjel*. Dziecięcia o cudownych, kręconych włoskach i zaróżowionej buzi nie można było nazwać inaczej. Rodzice naprawdę potrafią skrzywdzić swoje pociechy, często nieumyślnie.

- Bardzo... oryginalnie. – Walczyłam o każdy oddech, bo jego imię za nic w świecie nie chciało dotrzeć do mojej świadomości.

- Przyjaciele mówią mi Gabi. W każdym razie chciałem zaprosić cię na kolację w piątek wieczorem.

Przewlekłe yyyyyy, które wyskoczyło ze mnie w postaci osłupienia, bynajmniej nie rzuciło światła na odpowiedź. Niezręczność stała się wręcz namacalna, gdy za plecami Gabriela mignęła sylwetka Aleksa. Albo raczej podobna do niego, nie byłam pewna, a że chciałam być, poświęciłam uwagę temu, co

przebiegało na drugim planie. Po krótkiej chwili dokonałam niezaprzeczalnego odkrycia, że w istocie Aleks rozmawiał z Cezarym. Tylko po co? I skąd on się właściwie wziął w firmie? Przecież miał pracę i to niezłą w dodatku, więc optowanie za stanowiskiem u mojego ojca nie wchodziło w grę. A może chciał mi zaszkodzić kompromitującymi zdjęciami z imprezy lub nagraniem z ukrytej kamery w łazience?

- Więc jak? – Głos Gabriela uderzył o moje zamyślenie niczym trąby jerychońskie.

- Tak, tak – odrzekłam, nie wiedząc właściwie o co chodziło.

- To świetnie – Wyraz jego twarzy został złagodzony dzięki wyraźnej uldze. – Podaj mi swój adres, to wpadnę po ciebie o... dwudziesta może być?

Zaraz, że co? – zapytałam samą siebie w myślach, choć świadomość uparcie milczała, nie chcąc w żaden sposób dopomóc. – *O czym on właściwie mówił?* W mojej podzielności uwagi najgorsze było to, że jej nie miałam. Niejednokrotnie więc skazywałam własną dekoncentrację na pośmiewisko.

- Przepraszam, mógłbyś mi przypomnieć, o czym właściwie rozmawialiśmy? – Tym wolnym od poczucia winy pytaniem przypuszczalnie dałam mu w mordę.

- Widzę, że jesteś gdzie indziej – zauważył błyskotliwie. – Zgodziłaś się na randkę ze mną, w piątek o dwudziestej.

Czy tak zawsze musi oznaczać tak? Obawa niedosłyszanej propozycji została potwierdzona, a wraz z nią konieczność wywiązania ze *słowa, które się rzekło. Kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień.*

- A więc do piątku.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

romantyczna, dodano 29.01.2015 11:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.